

CIEPŁE PRZYJĘCIE W RABELAIS

Jak się wkrótce okazało, byli już w zasięgu Rabelais. Po południu, kiedy szykowali się do obiadu, usłyszeli odgłos silników i nadpłynęły dwa wojskowe ślizgacze. Oficer dowodzący oddziałem nakazał im płynąć za ślizgaczami. Okazało się, że Rabelais jest w stanie wojny i łódź naszych podróżników została wraz z załogą aresztowana.

Pod eskortą dotarli do miasta, które żyło już przygotowaniami do wojny. W porcie pełno było żołnierzy i transporterów opancerzonych. Wojskowe ciężarówki odbierały zaopatrzenie z barek i statków.

Tam mężczyźni zostali zabrani przez żandarmerię, zaś Malwinę odesłano do pałacu królewskiego.

Od urzędnika, przed oblicze którego zostali zaprowadzeni, Jan i Orzech dowiedzieli się, że Rabelais, którego władcą jest król Amstel, toczy właśnie wojnę z sąsiednim państwem rządzone przez króla Budweisera – Dante. Wojna rozpoczęła się trzy dni temu. Ponieważ Rabelais nie jest krajem wielkim ani szczególnie licznym, każdy zdolny do noszenia broni mężczyzna jest na wagę złota. W związku z tym podróżnych spotka wielki zaszczyt przyznania im obywatelstwa Rabelais i zostania poddanyami króla Amstela. Urzędnik wydał im nowe dowody osobiste, pocałował ich w usta (tak nakazywał miejscowy zwyczaj), a następnie oświadczył, iż obu obywatelom przypadnie chwalebny obowiązek obrony ojczyzny. Zaraz też umieścił ich nazwiska na liście powołanych do służby czynnej.

Oszołomieni szybkością pracy miejscowych urzędników przyjaciele nie zdołali nawet podziękować za tak miłe przyjęcie – już prowadzono ich pod strażą na dziedziniec, gdzie załadowano ich na ciężarówkę wraz z grupą innych rekrutów i wywieziono do koszar.

Tam w wysokiej zimnej sali rozebrano wszystkich do naga, splukano lodowatą wodą z armatki wodnej, przebadano na obecność wszawicy i świerzbu, sprawdzono wzrok i obejrzano zęby. Na końcu weszły trzy grube kobiety i rozdały im mundury. Wszystkie buty były co najmniej o trzy numery za duże i trzeba było wypychać je starymi gazetami, kalesony nie miały troków, a koszule posiadały rękawy długości dwóch metrów każdy, tak że można było owinąć się nimi dwa razy. Podczas zapinania mundurów odpadały drewniane guziki, berety puszczały kolor, a hełmy miały ostre krawędzie, które wbijały się w czoło.

Ich cywilne ubrania natychmiast spalono, aby uniemożliwić im ucieczkę.

Świeżo wcielonym wręczono plecaki, w których znajdowały się koce, menażki, brezentowe płachty, zapasowe części do Starów i ciężkie cegły służące prawdopodobnie dodatkowemu dociążeniu. Nakazano im wszystko to założyć na siebie i biegać wokół boiska do rugby przez godzinę.

Kiedy niektórzy z nich nie pamiętali już jak się nazywają, stanął przed nimi sierżant Legion. Sierżant Legion wyglądał bardzo groźnie i w dodatku chciał sprawiać takie wrażenie. Nic dziwnego, że na jego widok rekruci dostali drgawek.

- Żołnierze – rozpoczął sierżant Legion. – Nie jesteście tu, w tych oto praktycznych mundurach, dla zabawy, kurwa jebana wasza mać, chuj. To nie jest spotkanie integracyjne zorganizowane przez szefa waszego banku czy firmy handlowej. To nie jest obóz oazy czy szkółki niedzielnej. O jebu, dupu, kurwiszczu. To jest, synkowie, wojna. Wróg zagraża waszej ojczyźnie, chce zabijać wasze psy, gwałcić wasze siostry i skalpować wasze matki. Ja pierdykam, skurwiele, złamasy, kutasy, ooo! Nie jesteście tu dla zabawy. Jesteście tu – a jutro tam – żeby zabijać wroga! Kto z was zabił już kiedyś człowieka? No, słucham, który podniesie rękę?

Kadeci milczeli, patrząc lękliwie na straszną postać w nieprzemakalnym plamiaku z ogromnym pistoletem przypiętym do szerokiego pasa. Nagle ktoś podniósł rękę. Jan.

- Ty?! – wrzasnął Legion. – Ty, taki maminsynek, chuchro, dupek? Kłamiesz! A za kłamstwo jest kara – dwadzieścia okrążeń w pełnym rynsztunku!

- Nie kłamię, panie sierżancie – powiedział Jan.

- Milczeć! Do przełożonego nie odzywać się bez pozwolenia! – ryknął sierżant. – Kurwa, jebana twoja rzyć, chuj! Łżesz jak skopany pies, pójdiesz do karceru! Na goły beton polany wodą pójdiesz na tydzień!

Z Janem coś się działo. Mięśnie twarzy zadrgały mu niebezpiecznie. Krew uderzyła mu do głowy. Nie panując nad sobą skoczył naprzód niczym wielki kot, ramieniem ścisnął gardło sierżanta, wyrwał mu pistolet z kabury i przystawił do skroni.

- Właśnie tak to zrobiłem, panie sierżancie – wydyszał. – Mózg tego człowieka wyfrunął z drugiej strony i zachlapał całą ścianę, panie sierżancie.

Po czym puścił Legiona, oddał mu pistolet i wrócił do szeregu.

Sierżant policzył w myślach do dziesięciu, poprawił mundur i z zakłopotaniem zakręcił pistoletem na palcu.

- Będzie... hm... będzie z ciebie dobry żołnierz, szeregowy – powiedział. – A teraz, wojacy, idziemy na kolację.

34.

WOJNA

Noc spędzili w koszarach. Nikt nie dał im czystej pościeli, co dla niektórych chłopaków było prawdziwym wstrząsem. Jeden nawet płakał z tego powodu przez pół nocy. Nazajutrz zaraz po śniadaniu wydano im broń: karabiny, bagnety, krótkie łopatkki z naostrzonymi krawędziami i po dwa granaty na głowę. Potem załadowano do ciężarówek.

Jechali przez cały dzień w głąb ładu. Podróż była tak męcząca, że milczeli przez całą drogę. Każdy z osobna rozliczał się przed sobą ze swojego życia.

W środku nocy wyrzucono ich na otwarte pole i kazano kopać okopy. Kucharz gotował zupę, a oni ryli ziemię wygrzebując z niej buraki pastewne i kawałki naczyń z okresu Cesarstwa Rzymskiego. Ale kto by się teraz zajmował archeologią...

Na horyzoncie błyskało i rozchodził się niski grzmot, jakby dalekiej burzy.

- To nasze wsparcie artyleryjskie – powiedział sierżant Legion, który – trzeba to uczciwie przyznać – kopał razem ze wszystkimi. – Zmiękczej wroga przed naszym jutrzejszym *rendez-vous*.

Na te słowa Orzech poczuł dreszcz przerażenia.

- Zrozumiałeś, co on powiedział? – szepnął do Jana. – To znaczy, że rzucili nas na pierwszą linię, prosto pod nos wroga. Jesteśmy mięsem armatnim!

Jeden z chłopaków usłyszał to ostatnie zdanie i osunął się zemdłony.

- Jest wegetarianinem – wyjaśnił przyjaciel tamtego patrząc z wyrzutem na Orzecha.

- Być może właśnie tu będę miał okazję odpokutować za swoją zbrodnię – powiedział Jan.

Orzech popatrzył na niego ze zdumieniem. Od wczorajszego starcia z sierżantem Legionem Jan ani razu nie dał po sobie poznać, że mu źle, że jest zmęczony albo że boi się śmierci. Przyjmował swój los ze zdumiewającym spokojem i karnością. Ale dlaczego ja muszę umierać za jakiś obcy kraj? – pomyślał Orzech. – Do diabła, jak podły jest ten los, jak źle, że nie mamy żadnego wpływu na to, co się z nami dzieje!

Te rozmyślenia przerwało walenie chochłą w kocioł obwieszczające, że kucharz skończył wreszcie odprawiać nad nim swoje hokus-pokus i można było ustawić się w kolejce z menażkami w rękach.

Po zupie rozłożyli brezentowe płachty i próbowali zrobić z nich namioty. Większość z żołnierzy była jednak tak zmęczona, że po prostu zawinęli się w nie i zasnęli.

Około piątej rano obudził ich huk eksplozji. Całkiem niedaleko rozerwał się pocisk, potem następny – posypała się ziemia i strzępy buraków.

- Do okopów! – ryknął Legion, a żołnierze skwapliwie wykonali rozkaz. – O kurwa, zarzygana twoja mać, chuj, idą na nas!

Usłyszawszy te słowa, kucharz w pośpiechu załadował swoje chochle, kocioł oraz pięciokilowy worek „Vegety” na ciężarówkę i zwiął na tyły.

W okopach instalowano stanowiska cekaemów. Sierżant wydawał amunicję.

- Zróbcie z tych naboji dobry użytek – mówił każdemu niczym ksiądz rozdający hostię.

- Co mnie podkusiło, żeby wybrać się na tę cholerną wycieczkę? – Orzech szczekał zębami, poranek był bowiem chłodny.

- Nigdy nie będę żałował tego, co się stało – powiedział Jan z pogodną twarzą. – Nie chciałbym cofnąć czasu. – Położył dłoń na ramieniu przyjaciela. – Wybacz mi wszystko, co zrobiłem złego, ale nigdy nie żałuj przeszłości.

- Przestań gadać jak natchniony! – krzyknął Orzech. – Lepiej mi powiedz, jak się z tego strzela, żebym mógł pożyć jak najdłużej!

- Bez hysterii, bo dam w mordę! – ryknął z daleka sierżant Legion.

- Ma rację, teraz musimy być bardzo spokojni – powiedział Jan.

- Kiedy podejda zbyt blisko, żeby do nich strzelać, posłużycie się tym. – Legion zademonstrował zakładanie bagnetu na karabin. – A gdyby nie daj Bóg dostali się w nasze szeregi, jedyną bronią będzie to. – Pokazał łopatkę. – Będziecie ich szlachtować tym żelazem, jakby to były wigilijne karpie. I zrobicie to, maminsynki i studenciki, bo jak nie wy ich, to oni was rozsieją na kawałki. Zrozumiano? – I aby podkreślić uroczysty charakter tej wypowiedzi, Legion ani razu nie zaklął. Przejęło to jego wojsko prawdziwym strachem. Dopiero teraz dotarło do wszystkich, że wysłano ich na pewną śmierć.

Czekali w napięciu. Artyleria nieprzyjaciela waliła bez chwili przerwy. Huk unosił się w powietrzu w zawieszaniu gęstego pyłu. Ziemia drżała, ale nie zwracali już na to uwagi.

- Niedługo przestaną – powiedział Legion, nie wiadomo, do siebie czy do Jana, przy którym akurat się znalazł.

Jan spojrzał przed siebie i zrozumiał, że sierżant miał rację. W oddali widać było ciemny szereg nacierających żołnierzy i czołgów.

Orzech miał ochotę przetrzeć sobie oczy z niedowierzania. To nie może być prawda – myślał. – To mi się tylko śni. Jak mogli nam to zrobić, taką garstkę smarkaczy przeciwko czołgom? To najgorsze świństwo, jakie kiedykolwiek mnie spotkało.

Po półgodzinie ostrzał artyleryjski zamilkł. W gwałtownej ciszy każdy słyszał swój przyspieszony oddech i bicie swojego młodego wystraszonego serca. Potem zagdakały cekaemy. Ziemia zaczęła przyskać drobnymi grudami tuż przed ich nosami.

Orzech nie wytrzymał. Kucnął na dnie okopu zakrywając głowę ramionami. Był blady i pot ściekał mu spod hełmu na twarz.

- Przygotować się! – krzyknął Legion.

Jan pierwszy wysunął się z okopu i nie zważając na niebezpieczeństwo zaczął strzelać do biegnących w ich kierunku żołnierzy. Broń przycisnął do boku, nie pozwalał się jej wyrwać. Lufa pluła ogniem i choć nie celował zbyt dokładnie, wiedział, że trafiał, bo tamci wyrzucali w górę ramiona, wywijali śmieszne fikoły i padali ciężko na ziemię z rozszarpaną pierśią lub pogruchotanymi kolanami. Broń słuchała go, a w zamian on ufał jej bezgranicznie.

Tamtych jednak było bardzo wielu. Zbliżali się i wiadome było, że ogień ich nie zatrzyma, że dojdzie do starcia twarzą w twarz.

- Strzelaj! – krzyknął Jan do Orzecha.

Ten uniósł się z nierozumiejącym wyrazem twarzy. Wokół fruwały pociski niczym agresywne osy, a z lewej strony w kałuży krwi wił się jego kolega.

- Boże, ratuj mnie – jęknął i zaczął strzelać.

Nagle Jan zwinął się w okopie. Orzecha opanował przerażający lęk, że został sam na świecie.

- Trafili cię? – krzyknął kucając przy nim.

- Nic mi nie jest! – wrzasnął na niego Jan. W oczach miał krew, a może to tylko Orzech widział w nich krew. – Muszę zmienić magazynek, osłaniaj mnie!

I Orzech strzelał. Strzelał na oślep i widział, że niesie śmierć. Czołgi, które pełzły do nich z nieuchronną powolnością, nagle otworzyły ogień z karabinów pokładowych. Orzech poczuł jakąś siłę, która podcięła mu nogi i upadł, a tuż nad głową ryknęły pociski rozrywające ziemię. Z wszystkich stron rozległo się straszne wycie trafionych. Ktoś łąził na czworakach prosząc o lekarza; miał rozerwaną całą pierś i brzuch, z dziur w mundurze wyzierało spalone mięso i ciemne wnętrzości. Czołgał się ciągnąc za sobą ohydną śliską smugę.

- Boże, chcę się obudzić – płakał Orzech, ale Jan, który przed chwilą uratował mu życie, teraz dał mu w twarz.

- Załóż bagnet na karabin – powiedział spokojnym głosem. – I oddaj mi swoje granaty.

Ułożył granaty przed sobą i kiedy nastąpił odpowiedni moment, obrzucił nimi nadjeżdżający czołg. Czołg zatrzymał się, płonął. Płonęli ludzie, którzy z niego wyskakiwali i Jan strzelał do nich.

- Żeby się tylko nie męczyli – szeptał białymi wargami Orzech i również strzelał, a wypolerowany bagnet pokrył się sinym nalotem.

Chwilę potem piechota wroga była już nad ich głowami. Orzech pchnął bagnetem biegnącego na niego żołnierza. Krwawiące ciało osunęło się na niego, przygniotło go. Tuż przy swojej twarzy widział ogromne oczy młodego chłopaka, szkliste i wielkie jak w japońskich kreskówkach. Wydostał się spod niego, ale karabin ugrzązł w błocie i nie mógł go wydostać spod ciężkiego ciała. Została mu tylko łopatka i nią ciął napastników po nogach, łamał im golenie i kolana, a oni tłukli go z góry po głowie i dźgali go bagnetem w plecy, był pewien, że zginie, któryś bagnet w końcu przebije go na wylot albo zmiażdży mu kręgosłup i wreszcie będzie koniec tego piekła.

I nastąpił koniec. Nadjechały ich czołgi i niemal zmiotły wystrzałami z dział szturmującego nieprzyjaciela. Ci, którzy ocaleli, uciekali w popłochu, ścigani seriami z cekaemów.

Orzech i Jan żyli. Jako jedni z nielicznych żyli. Zginął nawet sierżant Legion, a oni żyli.

Orzech patrzył na uciekających żołnierzy, na trupy, na Jana zbryzganego krwią, z osmaloną twarzą i nie dowierzał.

- TERAZ się obudzę – powiedział.

35.

CIENKA CZERWONA LINIA

Przebudzenie było o tyle przyjemne, co przerażające. W uznaniu zasług obaj przyjaciele zostali odznaczeni za odwagę, brawurę, bitność, zadanie dużych strat nieprzyjacielowi, hart ducha, oszczędność sprzętu, spryt i chytryść, wierność ojczyźnie i parę pomniejszych papierowymi orderami, których zastąpienie oryginalnymi miało nastąpić po powrocie z wyprawy. Dostali też awanse: Orzech na kaprała, Jan na plutonowego, przy czym ten ostatni został też mianowany dowódcą nowego oddziału, który przysłano trzema ciężarówkami jeszcze tego samego dnia. Pierwszym zadaniem świeżo zwerbowanych żołnierzy pod wodzą świeżo mianowanego dowódcy było zapakowanie do tekturowych trumien tego, co zostało z ich zabitych kolegów i odesłanie ich tymi samymi ciężarówkami do rodzin, które już wymyśla, co z nimi zrobić.

Po posprzątaniu pola bitwy ruszyli dalej – przez podmokły, bagnisty las, w którym miało się ukrywać wredne komando wroga. Należało je wyeliminować, bo jak wiadomo takie oddziały lubią wyczyniać różne nieprzyjemne harce na tyłach wroga, a tego dowódcy Jana i Orzecha sobie nie życzyli.

Wraz z dostawą żołnierzy, oddział Jana otrzymał trochę dodatkowego sprzętu, w tym granatniki, miotacze ognia oraz tajemniczą skrzynkę, która zawierała ponoć sprzęt tak drogi, że w przypadku jego zniszczenia dowódca miał zostać oddany pod sąd wojenny i rozstrzelany, i do którego nie dołączono instrukcji obsługi. Tak więc Jan musiał nosić na plecach dodatkowy 20-kilowy ciężar, który musiał chronić przed wilgocią, zbyt wysoką i zbyt niską temperaturą, przed światłem, pyłem i toksycznym działaniem odchodów zwierzęcych.



Przez większą część owej nocy oddział przemieszczał się zgodnie z instrukcjami dowództwa brnąc przez bagna i rozlewiska, tracąc po drodze trzech ludzi, którzy albo się potopili, albo zdezerterowali, co właściwie wychodziło na to samo. Nad ranem rozbili obóz. Wszyscy byli przemoczeni, ubłoceni i pogryzieni przez trzydzieści odmian komarów i inne agresywne stworzenia, wśród których prym wiodły pijawki, przyklejki i jądrowki pospolite. Te ostatnie należały do najniebezpieczniejszych: wraz z wodą dostawały się do butów, następnie pełzły po nodze do pachwiny i przyssywały się do worka mosznowego. Ich jad zawierał środek łagodzący ból, dlatego kiedy człowiek zorientował się, że ma na sobie intruza, było już za późno – jądra były całkowicie zniszczone. Aż dziw, że wojujące feministki nie hodują tych stworzeń w swoich domowych akwariach (może ze względu na ich nieprzyjemny wygląd).

Nie zważając na wszechobecne robactwo posnęli na kępach traw wystających z cuchnącego błota.

Po krótkim śnie przyszła pora na śniadanie i pisanie listów. Orzech postanowił napisać do Ivanki Karp, jednak w połowie listu, który wydał mu się zbyt histeryczny (trzykrotnie użył słowa „ukochana”), zmiął go i wyrzucił. Doszedł do wniosku, iż jego stosunki z tą dziewczyną, choć bliskie, nie upoważniały go jednak do pisania w tym tonie. Potem zaczął pisać list do Malwiny. Przecież uprawiali ze sobą seks jakieś sto pięćdziesiąt razy w ciągu kilku dni, mógł więc chyba uważać ją za osobę mu bliską. Ale i tu po chwili doszedł do wniosku, że właściwie to wcale jej nie kocha. Zresztą, nie wiadomo nawet, gdzie teraz

przebywała, czy została w Rabelais czy też wróciła do domu, czy w ogóle pamiętała kogoś takiego jak Orzech Rozmaryn. W tej sytuacji napisał kartkę do rodziców treści: „Kochani starzy! Jestem w podróży, mam się świetnie, zwiedzam nowe miejsca i zdumiewam się bogactwem tego świata! Wasz Orzeszek”.

Śniadanie z braku kucharza i możliwości rozpalenia ogniska jedli na zimno. Przy okazji wyjaśniło się przeznaczenie owych ciężkich cegieł w ich plecakach – był to właśnie prasowany suchy prowiant. Cegła w kolorze beżowym składała się z liofilizowanego *purée*, które rozkruszało się trzonkiem noża i zalewało wodą. Powstawała z tego gumista pozbawiona smaku i zapachu masa, która zdaniem specjalistów od technologii żywienia, dzięki wzbogaceniu o komplet witamin i mikroelementów, miała wystarczyć żołnierzowi na czternaście do osiemnastu godzin sprawnego działania bojowego. W drugim pakunku znajdował się szary blok twardej gumy do żucia. Jej żucie służyło rozładowaniu stresu, można ją także było wykorzystać jako szybko krzepnący materiał uszczelniający. W trzecim bloku były sprasowane suchary, które miały tę właściwość, że po włożeniu do ust przebywały w nich przez wiele godzin rozpuszczając się powoli i oszukując żołądek. W osobnych paczuszkach wszytych w rękawy kurtek znajdowały się: ekstramocna kawa rozpuszczalna, suchy alkohol i papierowe listki nasączone LSD. I to było wszystko, czym dysponowali.

Po śniadaniu ruszyli dalej. Gdzieś w lesie był wróg, którego mieli dopaść i zlikwidować.

Wiele godzin szli przez las, z trudem wyciągając nogi z cmokającej ziemi, aż wpadli w zasadzkę. Część z nich, zanim zginęła, przyjęła ten fakt z ulgą, gdyż do szafu doprowadzało ich to bezcelowe taplanie się w błocie.

Strzały z karabinów maszynowych rozległy się ze wszystkich stron i pociski od razu skosiły pięciu żołnierzy. Padli zakrwawionymi twarzami prosto w błoto. Orzech miał szczęście – od gradu kul osłonił go idący przed nim młodzik. Krew tryskająca z dziur w jego plecach zachlapała mundur Orzecha, ale poza tym nic mu się nie stało. Przytomnie padł na ziemię, jednocześnie na oślep macając karabin i próbując zrobić z niego właściwy użytek. Celowanie wymagałoby uniesienia głowy, a na taki ułański gest nie było go stać, strzelał więc na oślep, kierując broń do góry, mając tylko nadzieję, iż w ten sposób nie postrzeli nikogo ze swoich. W rzeczywistości nikt z jego kolegów nie znajdował się już w pozycji pionowej, toteż szansa trafienia była niewielka.

Była to okropna rzeź. Faceci siedzący na drzewach bez żadnych skrupułów strzelali do odsłoniętego oddziału Jana Żakieta. W powietrzu świstały pociski, przyskała brunatna woda zmieszana z krwią. Leżeć w ten sposób i czekać na poszatowanie nie miało sensu i pierwszy pojął to dowódca. Poderwał ludzi na nogi i ciskając granat zrobił wyłom w szeregach wroga.

- Za mną! – krzyknął pokazując wyrwę w ścianie lasu. – Ostrzeliwać się!

Orzech pomyślał: Dobra, koniec tego wypoczynku, w najbliższym hotelu zafunduję sobie *jacuzzi*, a teraz się stąd zmywam.

Podniósł się na chwiejnych nogach, posłał serię na oślep i rzucił się w kierunku wskazanym przez Jana. Czuł, że za nim i obok niego padają w błoto ranni koledzy, słyszał ich dziecinne prośby „nie zostawiajcie mnie, ratujcie!” i biegł dalej modląc się, aby kule przeznaczone dla niego trafiły w kogo innego.

Wbiegli między drzewa. Ktoś użył miotacza płomieni i drzewa zapaliły się rozświetlając niebo. Z góry zaczęły spadać płonący żołnierze, spadali z obłąkanym wyciem i próbowali zdusić płomienie wijąc się po ziemi. Było to zupełnie bezcelowe, ponieważ płyn, którym zostali oblani, nie dawał się ugasić niczym z wyjątkiem próżni.

Człowiek z miotaczem ognia musiał oszaleć, bo zaczął siec płomieniami wokół, nie bacząc na to, kogo podpala. W ciągu minuty było tam prawdziwe piekło. Gdyby Orzech miał czas mu się przyjrzeć, zobaczyłby być może miejsce, w którym kula przebiła hełm i przeszła przez jego głowę na wylot.

Udało się wymknąć pięciu. W tej grupce byli Jan i Orzech. Znowu mieli szczęście, znowu uciekli śmierci sprzed samego nosa. Wyszli z lasu świtem po całonocnym marszu. Za lasem tkwiła w uśpieniu wioska. Oddział Jana spadł na nią niczym stado dzikich psów. Strzelali do okien i drzwi domów, zabijali mężczyzn, gwałcili kobiety, podpalali dachy i pojazdy. Potem porwali ciężarówkę i ruszyli w kierunku, gdzie – jak przypuszczali – powinno być Rabelais. Po czterech godzinach jazdy Jan zasnął nad kierownicą i ciężarówka uderzyła w drzewo. Wkrótce potem nadciągnęło wojsko Amstela i nasi bohaterowie zostali odesłani na tyły.

A oto lista zmian psycho-fizycznych u głównych bohaterów będących efektem wydarzeń wojennych:

1. Jan wyleczył się ze swojej choroby.
 2. Orzech nabawił się reumatyzmu.
 3. Jan znowu zainteresował się seksem.
 4. Orzech postanowił odnaleźć Malwinę i dać jej jeszcze jedną szansę.
 5. Jan zaczął nosić wojskowe spodnie twierdząc, że są bardzo praktyczne.
- Orzech zrozumiał, że nigdy nie polubi zabijania ludzi.